

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 49 Numeru: *Uwagi nad Don-Juanem P. Berwińskiego i nad Tłumaczeniem Odysei Homera przez Lucyana S. — Wspomnienia mojej młodości przez K. Brodzińskiego.*

UWAGI NAD DON-JUANEM

Pana Berwińskiego.

Rozbiegły się w tych dniach po Poznaniu dwie części Poezyi Berwińskiego. — Wiele byłoby do powiedzenia na ich pochwałę, naganę; wiele o ich dobrej i złej dążności; niskości i wyższości pomysłów; wadach, zaletach, pięknościach i plamach. Często tam w obrazach i wyrażeniach napotkasz dość silną moc i jedrność, częściej jeszcze płaskość, trywialność a zwłaszcza rozwlekłość niesłychaną. Uderzająca ta nierówność w guście, wyborze i obrobieniu przedmiotów, dowodzi niedość jeszcze wykształconego czucia estetycznego, bez którego w cząstkach można zająć pięknnością tyrady, lecz co do całości nic pięknie pomyśleć, pięknie wybrać i pięknie odlać niepodobna. Cóż dopiero, gdy się rozgłasza zdania rzeźniczej tylko godne namiętności, i w tej tylko sferze łatwego szuka osławienia, nad którą wieszcz prawdziwie genialny wznieść by się umiał; a imby młodszym był laty

i doświadczeniem, tem większej dowiodłby samoistości i rzadszej rozumu potęgi. Nie jest winą naszego autora, jeżeli go natura nie stworzyła do przodkowania innym, lecz też nie powinienby przestać na tem, co po ulicach lub fajkowych pogadankach zasłyszysz, i przybierać to w barwy poetyczne. Jest to rodzaj służebnictwa czolgającego się przed bohatyrami krzykaństwa, co tak bluźnierczo zacnem popularności nazwano imieniem. —

Pan Berwiński szczególną wagę przywiązywać się zdaje do swego Don - Juana Poznańskiego, jako poezyi większej objętości; nie tylko bowiem ten tak nazwany poemat z większą odłal starannością, ale i w drugiej jeszcze części swych poezyi tak rozległą o nim rozpowiada nam parabazę. — O tej więc pracy będę dziś mówić jedynie, inne na późniejsze sobie zostawując czasy. —

Nie łatwo jest pojąć, jak wieszcz, który się stanowi sędzią narodu i tak wysoko się wznosi, że nie tylko wszystkie choroby, błędy i zbrodnie jego wyświeca i piętnuje, ale nawet z wiary swego ludu, ostatniej serc skrwawionych pocie-

chy, z takim szydzi dowcipem; jak, mówię, olbrzym taki zniżyć się mógł do jednego zakąta swego kraju, jednego miasta, najmniej nawet zaludnionego ludem jego rodu!! — Wybrał sobie wprawdzie i Tassoni do Wiadra porwanego dwa miasteczka włoskie; lecz jakże drobność swego przedmiotu zbożać umiał rozmaitością scen, obrazów, charakterów, pełnością i szybkością akcji. Zdolność jego tak była obfita w wynajdywaniu barw i zdarzeń nowych, że nie potrzebował, jak Pan Berwiński, przybierać w pomoc szyderstw z wiary narodowej, dla okrycia nędzy i nagości swego poematu. Treścią Don-Juana Poznańskiego jest najoklepańska z starych plotek, podług której przejrzała już Panna zakochała się w młodzieńcu i uwieść się dała. To jest i to jedynie, co się w dwóch całych pieśniach mieści.

Nie znajdziesz tam żadnych innych zdarzeń, żadnego wyższego rysu charakteru, żadnej sceny stworzonej nowo, nic, coby jakkolwiek twórczość zapowiadało w poecie. Same błyskotki, żarty lubieżne, lotność w przeskokach, a czasami dowcip trafny i ostry. Wszystko to może na chwilę cię uludzi; lecz pod tą lśniącą powłoką nic nie ujrzysz, prócz brudu i jak rzekłem, stokroć odgrzewanej plotki. Mogą te blichtry rozśmieszyć na chwilę młodzież śmiechu głodną, lub owe starsze lubieżniki, co całe życie na drwinkach, kartach i szumnym zmarnowali szampanie; lecz zdrowy rozum narodu oburzy się nie omylnie, a serce jego głęboko zboleje, że właśnie w chwili, gdzie najbardziej z Bogiem łączyć się trzeba, dla poparcia siłą Wszechmocnego świętej sprawy, że w tej, mówię, chwili podobny rodzaj bluźnierczych żartów zdaje się uragać boleściom naszym, — a szydercze przytaczanie imienia Zbawiciela bluźnić temu Niebu, z którego nadzieję naszą krwawymi wywołujemy łzami. — Nie z takich żywiołów utwarzał Mickiewicz poezję narodową w czasach swjej wyższości. On w męce Krzyżowej podobieństwa naszej upatrywał; on imieniem umęczonego Zbawcy

rany nasze uświęcił. Panu Berwińskiemu przydało się tylko to imię do przypięcia go do załotów starzej kokietki! To się u niego nazywa: czas i naród swój rozumieć, to lud swój szanować, kochać, oświecać i uszlachetniać! —

Ale może powie mi P. Berwiński, że Don-Juan Byrona właśnie jest takim. Jeżeli w samej rzeczy tak sądzi, wyznać mu winienem, że go wcale nie pojął. A naprzód co do zbożania swojej treści, jakże Byron w jednej tylko pierwszej pieśni przez rozliczne sytuacje przeprowadza Julię; a wszędzie z takim urokiem i prawdą. Nie miesza on świętości z pospolitością, lecz szydzi z tego skojarzania się pietyzmu z miłośkami Hiszpanek. Jakże wreszcie dokładnie maluje wietrzność młodego podrostka, surowość i głupowatość męża i policyantów, których w najniebezpieczniejszej chwili maluje, spokojna przytomność umysłu niewieściego omyła i ślepi; z jakąż genialnością wreszcie kryśli ów sławny list Julii, żegnający na zawsze Juana, który do arcydzieł pióra jego należy. Jaki związek w całości, jaka rozmaitość zdarzeń, jaka prawda i poezja w obrazach.

Jestże choć cień podobnych zalet w Panu Berwińskim? Jest wprawdzie ta sama rzutność, pustota i lubieżność, ależ Byron nie przestał na tem. Czuł on, że kilka rzuconych dowcipów, i najzręczniejsze nawet przewlekania poematu, zabawnem tylko byłoby gadulstwem, ale nie poezją jeszcze. Pan Berwiński widział tylko formę Don-Juana Byronowskiego, dał się jęj złudzić, i ją tylko naśladować umiał, jakby na niej cała polegała wartość. Kto duszą prawdziwie poetyczną czytał Don-Juana Byronowskiego, ten więcej nad autorem boleje, niż jego uśmiecha się żartom. Byron jest to wielki i nieszczęsny zapasnik z losem, naturą i przeznaczeniem człowieka, który nie mogąc wygrać wielkiej bitwy życia, nasycić się, zaspokoić, przemódz wszystko i wszystkiego dociec, z zranionym sercem i rozdartą duszą, mści się na wszystkich, szydzi,

obnaża, wyśmiewa, zlorzeczy i żółcią swoją kala! Zmusza on się do żartów, aby zagłuszyć trawiące go cierpienie, ileż to bowiem razy w całym jego dziele zśród największej wesołości, śmiechów i szyderstw, wydziera się nagle z jego serca tak gwałtowny krzyk boleści, że odrazu odsłania okropny stan jego duszy i rany nigdy nie zgojone! W tej to wybitnej indywidualności Autora największa jest poezja Don-Juana i stokroć wyższa, niż w najpoetyczniejszych jego obrazach.

Są wprowadzić choć w niższym, jak u Berwińskiego stopniu, i w Don-Juanie Byrona, szyderstwa z rzeczy najświętszych, ale Byrona tem przynajmniej tłómaczyć możemy, że u takiego, jak on olbrzyma, zbląkanie się nawet olbrzymią miarę przybrać musiało, na co zwykły tylko talencik do wierszów narażać się nie może. —

Pan Berwiński chciał sławy, i zyskał ją, ale zupełnie nową i najsmutniejszą, bo pierwszy do naszej czystej i pocziwiej poezji wprowadził bluźniercze szyderstwa z wiary ojców, wiary całego ludu, wiary, co się z boleścią naszą zrosła, nasze nadzieje wspiera, i prędszy czy późniejszy zapowiada tryumf.

Mógłby jeszcze zarzucić Autorowi Don-Juana Poznańskiego, że tak płocho pomiata ziomkami, co niegdyś na polach Dembego, Igania i Woli walczyli. Sam nieprzyjaciół nie odmówił im należnej chwały. Paryż, Moskwa, Madryt, Wiedeń i Berlin, podpadły w naszych czasach temu samemu losowi, co i Warszawa; a przecież żaden syn tych rozlicznych ojczyzn, nie przyszedł uragać się z daremnych mężstwa wysiłen. Każdy z nich wiedział, że położenie stołecznego miasta w równinach, choćby dwódstotysięcznem wojskiem zasłonięnego, nie może równać się z ciasnym Termopilów wąwozem, co do mocy obrony, choć tylko trzystu obwarowanym Grekami. Ale może słuszną dumą osobistą, uczucie własnej zasługi podala te gromy Panu Berwińskiemu. Może on tam był najmężniejszym, najdłużej wytrwał, najwięcej krwi prze-

lał, umarł może nawet; gdyż w żyjącem sercu nie byłoby takiego braku uczucia, aby tak rozpustnie z krwią przelaną igrało, i nie miały mu wystarczać wszystkie lochy zapelnione więzieniem, wszystkie wygnania i gorące lzy. —

Był do utworzenia u nas inny Don-Juan, i stokroć prawdziwszy. Młodzik niewytrawiony jeszcze, ni doświadczeniem, ni boleścią narodową, wrzący, rzutny i płochy z natury, rzuca się na wszystko, co tylko zamarzy, lub nowym błysnie mu urokiem. Dzisiaj chce się kapłańską okryć szatą, jutro być prawnikiem, pojutrze Heglistą. To znowu nagle czepia się tak nazwanej arystokracji; to znowu łączy się z komunistami; a niechęć sam nie pocziwie zarobić, nożem i stryczkiem grozi własności. Przerzuca się wreszcie na Towiańszczyka, z Towiańszczyka na miłosnego bałamuta, z tego na szczekacza ulicznego; a z tego, Bóg wie, czem jeszcze zostanie.

Ileż to dramatyczności, akcyi, ile scen nowych a tak prawdziwych, jakby z żywej natury zdiętych! Szkoda, że Pan Berwiński nie dojrzał tego obrazu, który przecież tak jest blizki i tak żywo w oczy bije! —

Z. K.

Tłomaczenie Odyssei Homera

przez

Lucyana S.

(Patrz w Orędowniku Nauk. Ner 43 45 47 r. b.)

Nauki greckie nigdy się w Polsce na dobre zawziąć i takich, jak gdzieindziej wydać nie mogły owoców, ponieważ literatura rzymska przybywszy do kraju z religią i zaraz mocno się w nim osadziwszy, tak stanowczy i autonomiczny nadała kierunek językowi i oświacie, iż chyba uczeni z powołania zajmowali się grecką, kiedy wielka liczba poetów i mówców

holdowała Muzie latinijskiej. Atoli za pośrednictwem tejże samej literatury rzymskiej będącej odrostkiem greckiej, a później jeszcze włoskiej i francuskiej także, dopiero po zgłębieniu ostatniej wybujałych, rozpowszechniła się i u nas, choć jakkolwiek znajomość wytwornych plodów szczególniej poezji hellenickiej. Musiało nawet to zapoznanie się z Grekami dość żywy ku nim obudzić interes, kiedy już od czasów Zygmunta wspaniałego spostrzegamy usilność pisarzy ojczystych przyswajania Narodowi przez tłumaczenie znamienitszych plodów ich Muzy. Przed innymi Homer pierwsze zyskał miejsce, jako o tem najlepiej świadczą najliczniejsze onegoż przekładania już od Jana Kochanowskiego, tłumacza trzeciej pieśni Iliady, poczynające, a najgorliwiej pod Stanisławem Augustem później dokonywane, gdzie ich prawie równocześnie aż trzy się pokazało, Fr. Dmochowskiego, St. Staszica i Jacek Przybylskiego. Wylączny prawie zapal wieku ku poezji epicznej, obudzony w Europie Aeneidą Wirgilego i Torquata Tassa Jerozolimą Wyzwoloną, ale też może już i uczucie wysokości wartości plodów największego piewcy starożytniej Hellady były zapewne słusznymi i ojczywistych tłumaczów pobudkami do przyswojenia go rodzinnej literaturze i oświacie.

Atoli, z wyjątkiem próby Kochanowskiego zbliżającej się prostotą znacznie do oryginału, wszystkim tym trzem tłumaczeniom sprawiedliwie zarzucono niepojęcie ducha homerycznej poezji; czego powodem była częścią nieznajomość języka oryginału, jak u Dmochowskiego, a pono i Staszica, częścią brak talentu i gustu jak u Przybylskiego, nadewszystko zaś niedostatek owego zmysłu dla samorodnej poezji Natury wielkiego śpiewaka Hellenów, który miał jeszcze Kochanowski, ale utracili już jego następcy uwikławszy się w pęta misterniej sztywnopoważnej poezji rzymskiej i wymuszaną, a chłodną francuską. Ażeby uczuć i oddać wdzięki prostą, z łona gór, świętych gajów i sielskich osad wykwitłą poezji homerycznej, potrzeba

było poezji naszej wprzód samej z odrzuceniem na bok nieprzystających jej form rzymskich i francuskich zstąpić z świata mythologii i salonów, do zagrod kmiotka, do dziejów kraju pierwsiastkowych i pieśni, gdzie spoczywały właściwe dla niej wzory formy i treści; jednym słowem trzeba było wprzód odrodzić się poezji u nas na tem łonie sielskiej, staropolskiej naiwności i prostoty, od której w wielkiej nieogłędności i szale od czasów ojca swego odbiegła była, popadłszy, w śmieszną nawet nieraz służbę u obcych. Z tych dopiero więzów gdy wylamała się za dni naszych gorącym staraniem tak zwanych romantyków naszych, odchyliły się i nam uroki samorodnej poezji natury tak swojej, jako obcej, i dziś dopiero jesteśmy znowu w stanie rozumieć i podziwiać najwyższy jej wzór, złożony w boskich pieniąch Homera.

Świetnem prawdy tej potwierdzeniem, jest świeży przekład szóstej pieśni Odyssei przez Pana Lucyana S. dokonany, który tylko co czytaliśmy w numerach tego pisma. — Jakiegokolwiek być mogą zasługi Dmochowskiego pod względem języka, pełnego jędrności i ognia, jakiegokolwiek Staszica i Przybylskiego pod względem doskonałości przekładu; nikną one wszystkie pod tym przeważnym zarzutem, że tłumacze nie tylko nie oddali ducha oryginału, ale go jeszcze zupełnie zatracili w miejsce naiwnego kolorytu różnowzorem i swobodnie bujającej poezji Natury, ubrawszy przekłady swe w barwę surową i jednostajną dykcję epików rzymskich; dla czego też czytając przedewszystkiem Iliadę Dmochowskiego, nie Homera, lecz Wirgilego słyszeć nam się zdaje. Inaczej wcale pojął wzór swój nasz tłumacz. — Poznawszy naraz, iż utwory tak samorodnego, żadną nauką ni przykładem, lecz jedynie potęgą instynktu wiedzonego Geniuszu, jak pienią Homera, nieomal surowej wymagają ścisłości tłumacza w oddaniu owego im jeno właściwego typu; nie zapatrywał on się ani na Wirgilego, ani (co jeszcze gorsza) na nowszych epików, jakiego poprzednicy; lecz nieco tylko miarkując się

po wzorach znanych sobie, a dziwnie podobnych pieśni starosławiańskich, głównie z samego oryginału starał się zrozumieć i pochwycić ówega ich ducha, zamkniętego w prostem, dziecięcym prawie pojmowaniu rzeczy i opowiadaniu. To też nie zawarł się poeta przy jego odlewaniu na mowę ojczystą, w szczupłych granicach misternego, sztuką już wypolerowanego języka, jak to uczynili dawniejsi; owszem tyle tylko prawie zeń zatrzymując, ile zrozumiałość i potrzeba wymagały, do oddania szczerzej sielskiej prostoty wyłącznie mowy ludu użył, sięgając nawet do jej pierwiastków. — Dziwnie też trafnie udało się poecie za pomocą tego jedynego sposobu tłumaczenia pieśni homerskich odwzorować je, że tak powiem, z całą ich pierwotną naturalnością i wdziękiem, gdy nadto przy najdelikatniejszym guście potrafił z użytej przez siebie mowy ludu powydobywać wszystkie najpiękniejsze właśnie wyrazy i wyrażenia. Jakaż to różnica pomiędzy jego, a Dmochowskiego przekładem. — To obwinięty w togę, na wysokich koturnach, sztywny i pompatyczny Rzymianin więcej jak Grek; tamten naiwny, szczebiotliwy, lekki, pelen życia, uroczej prostoty ruchawy Hellenin. —

Jednem słowem, jeżeli największa prostota przy naturalności i prawdzie stanowią ducha niezrównanych pieśni Homera, a szczegółowo jego Odyssei; nikt tego ducha dokładniej pochwycić i przelać, w formy ojczystej mowy nie potrafił od P. Lucyana S., bacząc zaś na dotknięte już powyżej podobieństwo obyczajów homerskich Greków z starosławiańskimi, mogące być tylko przez Sławianina pojętem, dodam jeszcze, iż bodaj który inny Naród w Europie zdobyłby się dzisiaj na podobne tłumaczenie. Tak dokładne pojęcie i oddanie ducha poety czyni przekład P. Lucyana S. tyle czarującym, iż z trudnością tylko dostrzeże surowszy znawca w jego szczegółach kilka drobnych uchybień, na które, żeby nie być pomowionymi o parcyalność, pozwalamy sobie zwrócić uwagę szanownego tłumacza.

Nie mamy nic przeciwko temu, iż poeta wol-

no tłumaczył, gdyż wiemy, że dokładność tłumaczenia nie na dosłowności wyrazów, ale na dosłowności, (że tak powiem) sensu się zasadza; lecz zdawało nam się, iż Pan Lucyana S. czasem zadaleko posunął ową wolność — i to ośmielamy mu się wytknąć. — Tak np. przepol-szczenie wiersza 11. „lecz już dawno nieboszczyk w mogile się łoży,“ zamiast: lecz ten już oddawna powalony kerą, odszedł do Hadesu, spacza wynurzenie bezpośredniej wiary Homera, którego bożki, jak wiadomo, nie są żadnymi symbolami, lecz istotami dlań rzeczywiście. Szczególniej zaś w częstem opuszczaniu tak zwanych przymiotników ozdobowych (epitheta ornantia), nadających pewną barwę opowiadaniu Homera, nie dość ścisłym okazał się tłumacz. Zaraz w 4 wierszu pominął w przestronnej (εὐρυχόρῳ Ὑπερείη), w 8. w. (od ludzi) wynalazczych (ἀλφεύων); w 13 w. bogini lyszczącooka (stały przydomek Atheny, *Ἰεὴ γλαυκῶπις Ἀθήνη*) przełożył przez Pallas Atene. Wszakże drobne to tylko plamki, nie psujące bynajmniej piękności obrazu, a bez których najdoskonalsze nie obejdzie się dzieło, szczególniej zaś tłumaczenia greckiego poety, pętające tłumacza więzami, o których ten tylko dokładne mieć może wyobrażenie, co znając ten najbogatszy z języków, pokusił się sam przekładać z niego na którykolwiek z nowożytnych o tyle stopni odeń uboższy. Powie-działbym, iż wszystko tu już uczynił, kto się jak najwięcej do oryginału przybliżył — co właśnie znamienicie udało się naszemu poecie.

To też wycytując w przedśłowiu autora do niniejszego tłumaczenia Odyssei, iż na podanej nam próbie poprzestać zamysła, tem mocniej żałować nam przychodzi, że tak uzdolniony, a przez owe dawniejsze podobnej barwy i osnowy przekładania pieśni starosławiańskich, szczególniej usposobiony do tłumaczenia Homera poeta, — uchyla rękę swoją od dokonania pracy, któraby nie tylko jemu sławę, ale i językowi i literaturze ojczystej niemałe przynieść mogła korzyści.

Bo gdy zdaniem znawców język grecki najdoskonalszym jest i najbogatszym, przelewania z onegoż na ojczysty poetycznych zwłaszcza plodów, tenże tylko kształcić i zbogacać mogą, już to przyswajaniem mu nowych zwrotów, już to zakresłaniem pojedynczym, nieustalonym jeszcze jego wyrazów ścisłego znaczenia, już nareszcie pomnażaniem świeżo utworzonymi. — Skoro zaś Homer i pod względem sztuki za również doskonały w swym rodzaju utwor słusznie uchodzi, trudno nie widzieć, jak przyswojenie literaturze ojczystej przez dobry przekład tego tak wspaniałego wzoru skończonęj we wszystkich swych częściach całości, a odlanęj w formach prostych i umiarkowanych, na ukształcenie myśłu artystycznego młodych i wybrykujących zwykle piewców naszych, zbawiennie wpływaćby mogło. *) Niechaj nam szanowny tłumacz, kiedy już nie całego Homera, to przynajmniej rozpoczęty tak pięknie przekład Odyssei jego dokończy zechce. Wszakże przeszkody jego, które sobie kładzie, że praca taka potrzebuje wielkiego wytchnienia i spokoju innej jako oderwania się od żywotniejszych myśli, dałyby się może usunąć tą przedewszystkiem uwagą, że dla zajęcia mogącego z własną chwałą jeszcze chlubić i pożytek Narodowi przynieść, warto poświęcić wszelkie inne. Trudno nam wreszcie pojąć, jakby mogła jeszcze być inna myśl żywotniejszą nad tę, do której użytkownictwa nadzwyczajne okazało się zdolności, a którą największy geniusz jedną tylko rzeczy-

wiście w sobie nosi, bo zbiorem wielu może być tylko ludzkość — Bóg, ich uniwersalne źródło! Tak nam się przynajmniej wydaje i wynurzeniem tego przekonania nie odważamy się bynajmniej ograniczać woli i skłonności poety, chociaż śmiemy go prosić w własnym i tych wszystkich imieniu, co umiając oceniać wysoką wartość nieśmiertelnych dzieł Homera, powitali z najwyższą radością słiczną próbę polskiego przekładu Odyssei, aby nie odstępował od przedsięwzięcia, lecz z wytrwałością myślącym twórcą właściwą, rozpoczęte dzieło doprowadził do końca.

WSPOMNIENIA MOJEGO MŁODOŚCI

przez

Kazimierza Brodzińskiego.

(Ciąg dalszy).

Okropny był widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obeinała brzezinę, a długie różgi w cebrzyk wodą napełniony składała. Tę brzezinę sam pan professor zwykł był ze spaceru przynosić. Brzezina była u niego najważniejszym punktem pedagogiki. — Umeblowanie szkoły miało widok okropny. W środku wisiał wielki drewniany krucyfiks; za ręce i za nogi Chrystusa i na gwoździach zatknięte były świeże różgi, kilka prętów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnej passyi. Pan professor wszedłszy do szkoły, zawsze z groźną miną wprzód do owego składu różg przystępował; w prawne probowanie różg wydawało świst przerażający, poczem uzbrojony tęp berłem, zaczynał z nami modlitwę; można się domyślać, że takowa modlitwa z największą odbywała się skrucą i z prośbą o oddalenie niebezpieczeństwa. Pan professor miał często dziwny humor do bicia dzieci; bicie różgą w rękę ze każde zajknięcie, za każdą myłkę w pisanie, były wiernie każdemu wyrachowane. Pokładanie na środku zabierało dużo nudnego czasu; kara ta chłopca odbywała się w obecności ptei obojg, dziewczęta prowadzone były do osobnej komórki. Pan professor, będąc razem pisarzem magistratu, często w czasie lekcyi był odrywany; był to czas najwyższej swawoli bez różnicy ptei obojg. Młodzież składała się z miejskich i z wiejskich dzieci. Partija mieszczan była najgorsza i najsilniejsza; wiejskie dzieci musiały być

*) Wiem ja, że i najlepsze tłumaczenie nie jest w stanie zastąpić oryginału, że zatem chcący się na greckich twórcach kształcić, zawsze do oryginałów wracać będą musieli; ale też i to wiem, iż do dokładnego zrozumienia owych dzieł o tyle wieków oddalonego już od nas świata i języka, dobre przekłady równie niezbędną są pomocą, jak grammatyka i słowniki, że już nic nie wspomnę o owej nieumiejącej po grecku światłej publiczności, rozszczęj przecież także słuszną pretensją do dzieł uszlachetniających serce i umysł, a formujących gust i uczucie piękności!

skromne, a my najwięcej, gdyż nas jako szlachciców prześladowano. — Dniem najokropniejszym była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczony był zawsze katechizm dawany po niemiecku, w którymśmy ani treści rzeczy, ani języka nie rozumieli wcale. Mało kto był, często nikt, żeby za katechizm chłosty ująć zdołał. Trwoga i cichość i roztargnienie, jakie w ten dzień panowały, trudno opisać. Każdy zapytany po pierwszym zająknięciu, występował na środek klęczyć, a tak całe ławki się wypróżniły; wszystko klęczało, czekając w największej trwodze ostatniego, który ma być na to miejsce egzekucyi wskazanym; poczem nastąpił jeneralny płacz i prośby, wśród których każdy podług wieku odbierał przeznaczoną mu ilość. — Zamykano wtenczas okno, płakało głośno broniono, gdyż często zdarzało się, że matki przechodzące lub blisko mieszkające, tę egzekucyję mieszały. W tej kochanej szkole przez 3 lub 4 lata będąc, prócz pisać i nieco czytać po polsku i po niemiecku, nie więcej się nie nauczyłem. Należąc do partyi chłopców wiejskich, zabrałem z niektórymi prawdziwą przyjaźń, i im winienem szczęśliwe wiejskie zabawy. Co to za rokosz była, po ukończonej szkole puścić się z nimi między góry i sady, dostać się po kilkogodziennym głodzie i nudach na drzewo wiśniami lub gruszkami ciężące, pojeździć na onych maleńkich konikach, prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się i brodzić bosą nogą środkiem piaszczystej krynicy. W tych najmilszych zabawach z prostymi wieśniakami, byłem najszczęśliwszy. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie miano mi też za złe, choć się najdłużej zabawiłem. Życie takowe zrobiło mnie nieśmiałym do ludzi wyższego stanu nad wieśniaków, ale wiele mu dobrego winienem. Ono reżwiło moje słabe z urodzenia zdrowie, przez nie nabrałem przywiązania do cnotliwych naszych rolników. Z jakąż rokoszą przypominam sobie te chwile, gdy te chłopcy nauczyły mnie konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać. Podczas mglistej jesieni trawiłem często późne wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach; gdy przy ognisku piekąc kartofle, bajki opowiadano, które na ówczas składały dla mnie jedyną literaturę i dziś może wdzięki by miały, gdybym je równie słyszał opowiadane. Przez zabranie szczególnej przyjaźni z synem jednego garncarza, nabrałem wiele chęci do tego rzemiosła; dozwolono mi często tej zabawy, a cnotliwy wieśniak, ojciec mojego kolegi, widząc we mnie niepospolitą ochotę i zdolność, troskliwie mnie do swojego stanu zachęcał, mówiąc: iż lepiej swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która mnie dziś zupełnie zaniedbuje, a po śmierci ojca z domu wypędzi. — Wieśniacy tych okolic, obok naturalnego rozumu i dobroci, więcej mają oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiesi, niż w innych prowincjach Polski. W gó-

rach mniej znają nieszczęścia wojny, nie doznają kwaterunków niszczących moralność i prostotę obyczajów; handel fruktami, chmielem i płótnem, a najwięcej czynszowe tylko opłacanie gruntu, czyni ich zamożnymi, tak, że majątniejsi liczą do kilkunastu tysięcy złotych. Ojciec mój mało zastawał gruntu, ubogim wyrobnikom i oddanym ze służby żołnierzom, przeznaczał pole na swoim wójtostwie i chaty z małemi bardzo obowiązkami. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie ich do ojca i do nas, były bez granic. Żadna wieśniaczka, ani chłop nie przyszedł do domu, żeby nam tajemnie przed macochą owoców lub kukiełek z jarmaku nie przyniósł. Zniwiarki pieściły nas i obsypywały jabłkami. Dla sierot i dzieci opuszczonych w tem wielkie jest szczęście, że interes innych osób wzbudza. Ta opieka i troskliwość, acz prostych ludzi, budziła we mnie chęć podobania się każdemu, być zawsze uprzedzającym i wdzięcznym — a nawet próżność, żeby przez swój los wzbudzić na siebie uwagę i być jej godnym. —

W lecie była naszym mieszkaniem stodółka; obok mieszkał staruszek ze swoją żoną, zwany gospodarzem, do którego gruntu dworskie i wszelkie gospodarstwo należało. Mała ich izdebka była naszym zwykłym zimowym mieszkaniem. Ciepła izdebka, zawsze na kominie palącej się ogień, przy którym ci staruszkowie siedzieli, stawiają dziś w moich oczach mieszkanie Filemona i Baucis. On był starym żołnierzem, ona kobieta, która służywała po dworach. Przyjemne to były wieczory, kiedy przy pieczeniu kartofli opowiadał o krajach włoskich i francuskich, w których biały chleb jadł, i wino pijał, a ona rozwijała niewyczerpany zasób różnych powieści i tak zwanych gadek. Temu człowiekowi winienem, iż dotąd czułem zawsze tęsknotę do ziemi nieznanej, do podróży, której biedny stan mój wiele dodawał ochoty.

Jedną zimą, której wieczory na podobnych trawiłem rozmowach, nabrała mnie pierwszy raz w życiu owej prawdziwej niespokojności i tęsknoty, której podobno każdy człowiek mniej lub więcej doznaje. Opowiadania o pięknych krajach Włoch i Francji w tym sposobie, jak je mógł prosty żołnierz uważać i opisać, napędziło dziwnemi marzeniami mą duszę. — Zona jego niemniej obudzała we mnie niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach panów polskich: jak to młodzi ludzie i ubodzy odbierają od nich wychowanie, jak paradują, na koniach jeżdżą, jak dalekie podróże odbywają z panami, i tym podobne. Wszystko to było przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły; ale ja myślałem, że ten świat za górami tak jest szczęśliwy, jak mi go opisano, i jak go sobie w niewinnej duszy wystawiałem. Życie moje przy macosze od wszystkich zienawidzonej, przy ojcu, który mało co o mnie wiedział, tem bardziej tę moją chęć do szukania szczęścia u świata zwiększało. —

Zdaje mi się, iż gdybym był wtenczas Odysseę lub przynajmniej Telemaka czytał, nieby mię nie było mogło wstrzymać w mej tęsknocie: stałem się odtąd smutnym i zamyślonym, i to były pierwsze błogie łzy moje, których boleść z rozkoszą złączona jest urojoną. Szczęściem, że wtedy żadnych książek prócz szkolnych nie miałem, że całą krainą mojej imaginacyi były tylko powieści wieśniacze, które do mojej tęsknoty dużo się przyczyniły, nie mogły mnie jednakże całkowicie oblać. Im się bliżej ku wiosnie miało, tem więcej mój umysł był niespokojny. Nakoniec z młodym bratem zaczęliśmy układać projekt tajemnego wybrania się z domu, i puszczania się w świat na Bożą opatrzność. Wszystkie dwory i zamki, o jakich słyszałem, jakie sobie w wyobraźni tworzyłem, stały mi przed oczyma we dnie i w nocy. Często wdarszy się na dach folwarku, dumalem o szerokim świecie, i przeglądałem widnokrąg, jak daleko go okiem zasięgnąć zdołałem. Godzielnabierając większej chęci do wykonania zrobionego planu, czuliśmy jednak potrzebę zwierzania się komuś; za mentora więc naszego obraliśmy starego gospodarza, jemuśmy wszystko opowiedzieli. Człowiek ten prosty, pochwalił prawie nasz zamiar, jeszcze nas więcej do niego zachęcał, a tak nie nam już więcej nie zbywało. Namienił jednak konieczną potrzebę pieniędzy, podał nakouiec środek ich nabycia, który dla osiągnięcia skutku naszych życzeń, nie był dla nas okropnym. Ojciec odbierając co kwartał raty czynszowe, składał w osobny kufer trzygroszniaki węgierskie z obrazem Maryi na jednej stronie. Było tej miedzi do pół kufra, który stał w osobnym niezamieszkałym pokoju, a my zносили do niego opaleczki uzbieranej miedzi. — Gospodarz uczynił nam uwagę, iż te pieniądze są bardzo szczęśliwe dla tego, kto je mieć może, że mają władzę cudowną. Ze ojca prosić o nie nie można, boby się nasz zamiar wydał, — zgola żeśmy się w krótkce domyśliłi, jakby ich dostać. Za każdą więc zdarzoną sposobnością braliśmy po garszcie cudownych pie-

niedzy, któreśmy tajemnie w ręce gospodarza składali. Ten nieprzestawał nam opisywać przyjemności naszej podróży, a co nas najwięcej cieszyło, że sam uda się z nami, że on także z macochą wytrzymać nie może. Nie pamiętam, ileśmy mogli naszego funduszu uzbierać, ale wnet i układy nasze i bogactwo smutny koniec wzięły. Nasz gospodarz miał także swoje perijody, w których się przez dwie i trzy niedziele i więcej trunkowi oddawał; wysłany jednego dnia na jarmark o parę mil, zabrał nasz fundusz podróży, błąkał się gdzieś ze 3 tygodnie, i do domu z niczem powrócił. Postępek nasz się wydał, ojciec nas tajemnie i łagodnie ukarał, a z gospodarzem zerwały się wszelkie dawne stosunki. Domyślić się także można, że w towarzystwie, w jakim żyłem, najwięcej między kobietami prostemi, nasłuchiwałem się różnych powieści o duchach, zabobonach i czarach, co miało tyle wpływu na moję imaginacyę, iż odtąd puściwszy wodzę wyobraźni na te czarne kraje, jak dziecie sam własnych utworów się lękam. Dopomógł mi do tego blizki cmentarz, przez który musiałem zawsze do szkoły przechodzić. Kościółek drewniany, w środku tego cmentarza, nie wystawiał mi się inaczej, jak za siedlisko duchów, które tamże po nocy swoje uczty miewają. — Zwyczaj chowania uboższych ludzi bez trumien i składania ich na cmentarzu pod parawanem dniem przed pogrzebem, które to trupy często widzieć musiałem, zrobiły mnie na zawsze trwożliwym. —

Temu także życiu z wieśniakami winienem, o co oskarżyć się muszę, iż dotąd daleko łatwiej umiem postawić się w stanie prostych ludzi, niżeli wykształconych wychowaniem, z jakimi później żyłem. Kilka słów wieśniaczki dosyć są dla mnie, iżbym wszedł w ich uczucie. Więcej także dotąd umiem się postawić w stanie kobiet, niżeli mężczyzn; więcej mam skłonności rozważać ich skłonności i wsnuć się w ich marzenia, chociaż z niemi mało gdzie żyłem w ściślejszej przyjaźni. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na Nrze 52. kończy się drugie półroczne Orędownika 1844. W roku następującym 1845. wychodzić będzie Orędownik jak dotąd, ale tylko co dwa tygodnie jeden Numer, w cenie dotychczasowej rocznej 18 Złotp. Prenumeratę półroczną w ilości 9 Złotp. przyjmują jak zwykle król. pocztamty, a w Poznaniu KSIĘGARNIA NOWA na ulicy Wrocławskiej.